

Zbigniew Mika
**Szansa
ludzi
upartych**

Ukradkiem patrzę na zegarek, dochodzi czwarta. — Przetrzyłbym Was inżynierze — mówię z obawą, że odpowie, „ano trudno, służba nie drużba” i na wszelki przypadek szykuje argumenty. — Odwiozę pana do domu, zawsze te parę minut będzie przybiec.

Na nic jednak moje przypuszczenia, dla inżyniera Romaniszyna dzień pracy jeszcze się nie skończył. Czeka na niego. W sąsiednim pokoju rozwiązują techniczną krzyżówkę. Pięciu ludzi zastanawia się, gdzie w turbinie może być styk, który powoduje przenikanie prądu. Pytanie jest jedno, wariantów odpowiedzi tysiące. Jak na kuponie „Totka”. Tam jednak, gdy utrafisz w liczby, będzie milion, a co zyska tych pięciu? Tu stawka idzie także o miliony. Tyle, że nie „osobiste”. Wyłączyć „125-tek” to jakby pół województwa i Poznania wygasić. Jedna godzina pracy turbospołu daje 125.000 kilowatów prądu. Każdy kilowat — 90 groszy. A przecież awaria maszyn może unieruchomić na kilka tygodni.

Słeczy więc dyrektor Chmiel ze swoim sztabem nad rozpostartym rysunkiem i kombinuje: drgania turbiny mogły spowodować przetarcie, rozluźnienie izolacji... Sztab jego — wytrwały, inżynierski, z praktyką po 10—15 lat, w Koninie od pierwszego turbospołu.

Inżynier Bonikowski — kierownik eksploatacji — pokazuje coś palcem, uzasadnia. Ktoś zaprzecza, podsuwa nową hipotezę. Inni proponują odmienne rozwiązania. Ustalają wreszcie najbardziej prawdopodobną diagnozę.

Telefon do brygady remontowej. Mistrz remontów Edward Rola czeka na decyzję jak na zbawienie. Odkłada słuchawkę, przygotowuje się do usuwania usterek. Późno, dla niego pora nie gra roli. Mówią o nim nie bez racji: nasz mistrz to pies na robotę.

Usterka w maszynie — normalna sprawa, może zdarzyć się zawsze, zwłaszcza gdy ma się do czynienia z prototypami. A takimi są dwa niedawno zainstalowane 125-megawatowe turbospoły konińskiej elektrowni. Wytwór polskich inżynierów i robotników, ekonomiczny w eksploatacji (zużywa na każdą kWh 50—60 g węgla mniej niż dotychczas pracujące maszyny o mocy 50 MW). Ale o bardzo skomplikowanej konstrukcji. Ten kolos wymaga dokładności, przewyższającej mechanizm zegarka. Zegarek powiększony do tych rozmiarów okazałby się klekotem, przypominającym kierat. Tu tolerancja niektórych wymiarów nie może przekroczyć setnych milimetra. Przy 30 metrach długości!

Montaż owych „125-tek” był trzecim, ostatnim etapem budowy. Dwa poprzednie, na które składa się 6 maszyn — średnio po 50 MW — zakończono w 1961 r. Pierwszy szwajcarski turbospoł zmontowano w 1958 roku.

Inżynier Ryszard Bonikowski prowadzi z amatorską kronikę powstawania elektrowni. Gruby zeszyt sucha relacjonuje daty, fakty, wydarzenia. Jest dziełem technika, a nie socjologa, więc skupia uwagę na megawatach, parametrach, kotłach, pompach. A między wierszami tych zapisków trzeba by odnotować dla zawodowej pamięci — ludzi. Oni bowiem i tu udowodnili, że w ostatecznym bilansie zmagają o nowoczesną technikę i gospodarność — decyduje człowiek. Między wierszami kroniki wpisuje więc:

Kazimierza Romaniszyna — brygadzystę oddziału kotłowni, specja 16-letnią praktyką w elektrowniach i szkołą zawodową ukończoną wieczorami;

Zygmunta Dobersztyna rodem z Konina, monter turbinowego po szkole zawodowej w Żarach. Prywatnie — budowniczego domu jednorodzinnego;

Edwarda Rolę, którego poznaliśmy wcześniej, rodem spod Krasnika w

Konińskie megawaty

Lubelskiem, wybitnego specjalistę od urządzeń energetycznych;

Mieczysława Klejdysza — montera turbinowego, co przywdrował tu z Gniezna, a w energetyce pracuje z 15 lat. Prywatnie — zapalonego wędkarza, który to od roku nie złapał ani jednej ryby, bo megawaty były ważniejsze.

Megawaty były ważniejsze, nie tylko dla Klejdysza. W ostatnich miesiącach ubiegłego roku, w październiku, listopadzie, grudniu — tacy jak on nie schodzili z roboty często po 20—30 godzin. Behapowiec, inspektor pracy przymykali oczy, potem mocno zaciskali powieki, by nie widzieć 200—300 nadgodzin w miesiącu na osobę grubo ponad dopuszczalną normę roczną. Sumienie stróżów ustaw o 8-godzinny dzień nekaly te nadliczówki dotkliwie, ale cóż było robić, gdy zbliżał się wielokrotnie przesuwany termin uruchomienia. Od czego jest harmonogram. Przecież montowano prototyp pierwszy w kraju, a jeden z nielicznych tej wielkości w Europie! Koninowi przypało ponieść wszystkie niemal konsekwencje niedopatrzeń i braków, powstałych we wcześniejszych stadiach produkcji urządzeń dla Konina: w Elblągu, Raciborzu, Warszawie.

Dostawa pierwszego generatora (wytwornicy prądu) spóźniona była o 9 miesięcy. Spóźnili się także Anglicy z przysłaniem urządzeń automatyki sterującej. Kotły raciborskie, znane przecież z doskonałej konstrukcji, zostały wyposażone — mimo sprzeciwu elektrowni — w nowe ale niesprawne podajniki węgla, zaprojektowane przez Centralne Biuro Konstrukcji Kotłowych.

Tak wygląda jeden z turbospołów 125 MW zainstalowany w Elektrowni Konin.

Fot. — K. Przychodzki

W kronice pod datą 25 czerwca 1963 roku widnieje wzmianka: wstępne uruchomienie pierwszego bloku 125 MW. Przedsiębiorstwa montażowe oddały pałeczkę sztafetową „grupie rozruchowej”. Jedni odetchnęli, dla drugich zaczęły się kłopoty.

18 lipca następuje i synchronizacja bloku, która potwierdza obawy inżynierów elektrowni co do wadliwości podajników. Nie ma jednak zgody na ich wymianę. Inżynierowie nie ustępują. Rozpoczynają z inicjatywą dyrektora Chmiela pracę nad podajnikami własnego pomysłu. Tylko ich upór ratuje sytuację. Gdy ostatecznie przekonano Czynniki, że racja jest po stronie Konina, brygada oddziału kotłowni od razu przystępuje do budowy nowych urządzeń podających.

W brygadzie wiedzą, że od tego zależy teraz uruchomienie turbiny. Zaczyna się wyścig. Brygadziści Romaniszyn nie musi ponaglać ludzi. Pracują po dwie zmiany; wiele godzin ponad normę, chcą zdążyć.

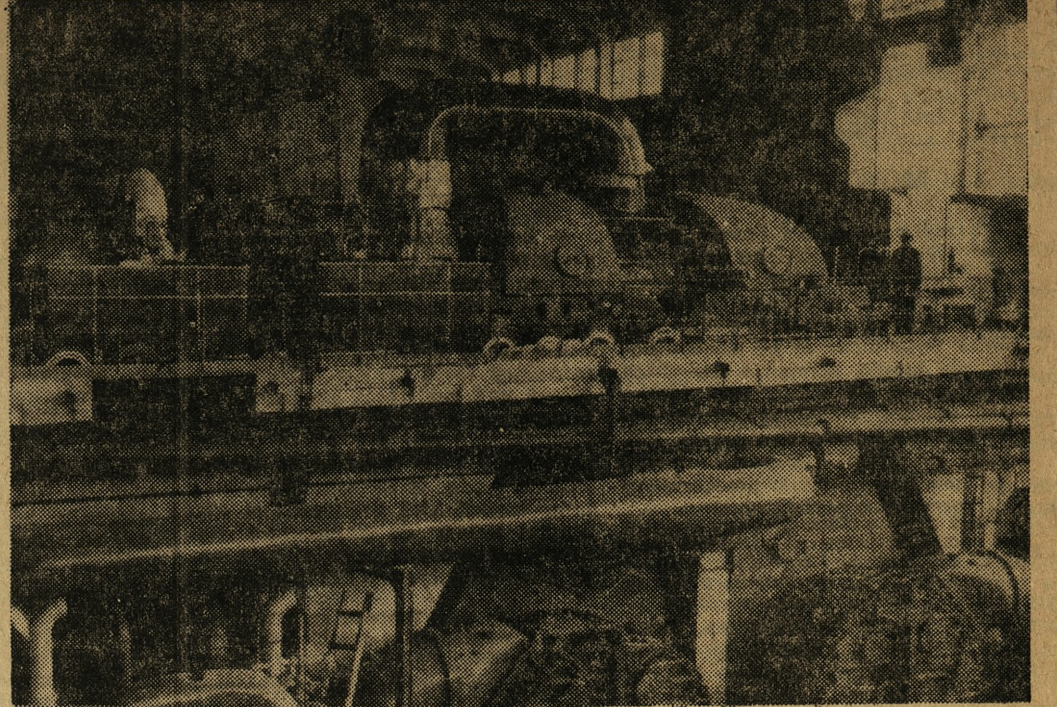
Klejdysz, Pankowski i Nikiel montowali pompy kondensatora. Ledwie je uruchomiono — popękały korpusy. W Warszawskiej Fabryce Pomp źle widocznie obliczono wytrzymałość materiałów i cała robota na nic. Demontaż, reklamacja. A karteek w kalendarzu coraz mniej. Gdy nadesłano nowe pompy, czas liczył się niemal na minuty.

To znowu zawiódł zawór regulacyjny produkcji NRF, nie wytrzymał próby klej angielski, który zastosowano przy uszczelnianiu wodowego urządzenia chłodzącego. Pomógł klej krajowej produkcji. Tu egzamin cierpliwości i pracowitości zdawali Rola i Dobersztyn. Nie ustępowali, choć wydawało się, że wszystko jest przeciwko nim. Dziesiątki prób, setki kombinacji i doświadczeń, które trzeba przeliczyć na nieprzespiane godziny, nerwowo spalane papierosy...

31 sierpnia ponowna próba synchronizacji przy prawie pełnym obciążeniu. W październiku po kolejnej próbie, przekazanie do wstępnej eksploatacji.

18 grudnia 63 — pierwsza „125-ka” ruszyła pełną parą. W cztery dni później — druga, już bez sensacji i większych kłopotów. Warto to pod-

Dokończenie na str. 2



Franciszka Borowicz

CHEMIA i MY

Na czoło zadań stojących przed nami w dziedzinie przemysłu wysuwa się rozwój chemii. Przy dzisiejszym poziomie nauki i techniki, bez wystarczająco rozbudowanego przemysłu chemicznego nie może być mowy o rozwoju całej gospodarki.

WŁADYSŁAW GOMUŁKA

To się nazywa tempo: w 1924 wartość światowej produkcji przemysłu chemicznego nie sięgała 5 miliardów dolarów. W 1938 r. podwoiła się. W latach 50-tych doszło do 65 mld dolarów. Obecnie — według przybliżonych danych — wynosi 100 mld dolarów.

GDZIE NATURA NIE MOŻE...

Niebywały to awans. Ale i niebywały są możliwości przemysłu chemicznego. W wyjątkowo skuteczny sposób potrafi on rozwiązywać napięcia współczesnej gospodarki. Tam gdzie dawniej wolno było liczyć tylko na dary dobrodziejstwa, ale nie zawsze łaskawej natury, dziś można się odwołać do pomocy chemii.

Ludność rośnie, trzeba więcej chleba? Proszę bardzo! 1 kg nawozów fosforowych umożliwia zwiększenie plonów zboża 5—7 kg, 1 kg azotu — o 10—12 kg. Owieczki skąpią wełnę, jedwabniki nie dość szybko się zwijają? Chemia służy elanowi, ironii, nylonem, stylonem, orlonem i jeszcze długą listą innych „blawatnych” nadzwyczajności.

Trudno i ciężko wydobywać i wytapiać metale? 1 kg tworzyw zastępuje 3—11 kg metali nieżelaznych. I może jeszcze coś z dziedziny budownictwa: 1 tona tworzyw zmniejsza wagę budynku mieszkalnego o 12 ton, jednocześnie zaś zwiększa powierzchnię mieszkalną, np. w domu jednorodzinnym o około 20 proc.

NA WOŁOWEJ SKÓRZE

nie dałoby się spisać dalszych przykładów. Choćby z tego względu, że przemysł chemiczny wytwarza 30 tysięcy różnych substancji. Warto natomiast podkreślić, że z tego około 70 procent weszło do produkcji do-

piero w ostatnim ćwierćwieczu. I to jest właściwie dopiero start. Na razie chemia opiera się w zasadzie na 10 spośród 103 znanych pierwiastków (na węglu, wodorze, tlenie, siarce, fosforze, azocie, sodzie, potasie, chlorze, wapniu). Cóż więc za perspektywy na przyszłość!

W laboratoriach naukowych wyodrębniono już milion (!) związków chemicznych, których praktycznego znaczenia na razie nie można jeszcze określić. Gdy państwo Curie w swojej szopie biedziło się, przerabiając zwały błendy uranowej, też nie wiedzieli, co to z tego wyniknie i nie przewidywali, że torują drogę n. podroży Wali Tierieszkowej. Nie kusząc się więc o prognozy dalszych osiągnięć, poprzestajmy na stwierdzeniu, że chemia już dziś oszczędza, ułatwia, zastępuje, przyspiesza, pomnaża, obniża koszty. To właśnie tłumaczy jej superkarię, to właśnie wyjaśnia, czemu wszystkie przemysłowe potęgi świata forytują jej rozwój.

A W POLSCE?

W Polsce warunki chemicznej ofensywy były wyjątkowo trudne. Wówczas gdy lata wojny w wielu państwach były okresem burzliwego rozwoju tego przemysłu — nam przyniosły niepowetowane straty w ludziach, demontaż i wywóz szeregów urządzeń oraz zniszczenie 40 procent majątku trwałego chemii. Majątek ten zaś bynajmniej nie był rozległy. Chociaż historia chemii gęsto jest przeplatana nazwiskami z końcówką „ski”, przemysł chemiczny do roku 1939 był niewielki, mało nowoczesny i w 75 procentach podporządkowany obcemu kapitałowi. Chociaż, czy nawet prezydencie Mościce wiosny nie czyniły. Toteż solidnie należało nadrobić zaległości i nie bez przyczyny nakłady na chemię

Dokończenie na str. 2

Piotr Życki
Niepunktualność

Cóż nowego na ten temat można powiedzieć? Rzekniecie nowego raczej niewiele. Można jednak spóbować (warto od czasu do czasu) zebrać opinie, poglądy i uwagi dotyczące zjawiska, określonego w tytule — dla uzmystowienia raz jeszcze współczesnym, jaka jest skala owego społecznego problemu. Bo że niepunktualność nie tylko daje się we znaki Iksowi i Ygrekowi, lecz stała się plagą społeczną, to raczej nie podlega dyskusji. Bezsporne jest chyba i to, że niepunktualność jako zjawisko społeczne, zrodziła się na gruncie — z pozoru niegroźnej — przywary niektórych obywateli.

W sferze życia prywatnego rozpanoszyły się idiotyczne przesady, wręcz sankcjonujące niepunktualność. Proszą Ciaputkiewiczowie, by przyjąć do nich na imienną kolację o 19 — to „tłumaczy się” nagminnie w ten sposób, iż należy przybyć co najmniej pół godziny później. Zwycaik ów tak się rozpowszechnił, że nawiedzenie zapraszających

o podanej przez nich godzinie, równać się może towarzyskiemu faux pas i ryzyku zastania gospodarzy w dezabilu. To samo dotyczy terminu rozpoczynania zabaw a nawet randek.

No tak, mając tego rodzaju „zaprawę”, przybywają niektórzy na imprezy typu oficjalnego: narady, odpraw, akademie, zebrań — również z pięć, a najczęściej piętnastominutowym opóźnieniem. A jeżeli przypadkiem wyznawcom zasady „akademickiego(?) kwadransa” wypadnie znaleźć się w sali obrad na czas, wykazują pełne zrozumienie dla spóźnialskich. Oni też są faktycznymi sprawcami wydłużania „pięciominutowych” przerw do granic przekraczających cierpliwość ceniących czas ludzi.

Smutne to, ale prawdziwe: niepunktualność cieszy się w Polsce niepojętymi względami; nie jest uważana za przejaw lekceważenia — w przypadku spotkania — drugiej strony, czy choćby towarzyskiego nietaktu; bywa niemal powszechnie tolerowana. Poważyl-

bym się twierdzić, że szastanie czasem — cudzym ale i własnym — to jedna z cech, charakterystycznych wielu, hej! — jakże wielu, obywateli Lechistanu. Nie jestem pewien, czy aktualnie przywara ta nie jest niebezpieczniejsza od schyłkowej już bodaj wady: „picia i popuszczania pasa”...

Szczególnie przy tym irytuje usiłujących żyć z kalendarzem i z zegarkiem w zgodzie, że pośród powszechnie wyrzekających na brak czasu nie brak tych, którzy go sobie i innym beceremonial-

PLAGI CODZIENNE

nie zabierają. A przecież czas jest czymś bezcennym, czymś bezpowrotnie odchodzącym, czymś nie do nabycia i nie do zatrzymania. Poeci, filozofowie, zawsze ściśleli matematycy, a także puszczający nieraz wodze fantazji astronomowie — są co do tego zgodni, że czas to majątek człowieka. Tak, czas i zdrowie, to nasze największe skarby, jeśli pominiemy sferę odczuć moralnych.

I dlatego musi budzić sprzeciw brutalność, z jaką rozmaici osobnicy, przy prywatnych bądź społecznych okazjach, ograbiają nas z czasu, lub z efektów roz-

maitej kategorii, które mogłyby w ciągu zaprzepaszczonego go-dzin powstać.

Jak dotychczas bez większego wpływu na punktualność rodaków pozostało potaniecie i upowszechnienie zegarków; niewiele też pomogły liczne prasowe kampanie, poświęcone pladze „N”. Na zwalczanie niepunktualności jedna jest tylko rada: uaktywnienie wszystkich, którym czas jest miły — dla żelaznego egzekwowania ustalonych terminów rozpoczynania i kończenia wszelakiego typu spotkań, czy imprez.

Spóźniając się, szkodzisz sobie i innym. Tę prawdę trzeba próbować przyswoić „czasowym anarchistom”. Może nie zdają oni nieraz sobie z tego sprawy, że opóźnienie na przykład porannego zebrania, pociąga za sobą coś na kształt reakcji łańcuchowej, jeśli w grę wchodzi osoba bardzo obciążona zajęciami. Są też inne sytuacje: niegospodarna polityka czasem może spowodować brak tegoż dla rozstrzygnięcia ważnych spraw, skutkiem czego takie lub inne zapadające decyzje mogą być niedostatecznie przemyślane.

Najbardziej wymierne straty społeczne występują przy niepunktualnym podejmowaniu zajęć przez pracowników produk-

cyjnych, jak również przy opuszczaniu przez nich miejsc pracy na kilka minut przed sygnałem zakładowej syreny. Można tu dosłownie z ołówkiem w rękę wyliczyć stracone dniówki, złożone z „pięciominutowek”, używanych na przebieganie się, by już o 14 czy 22 przekraczać fabryczną bramę.*)

Tak, tak, nieodkrywcze to wszystko. Może nawet dałem się ponieść maniactwu racjonalnego gospodarowania czasem i obsesji punktualności. Nie uczyniłbym tego, gdyby nie przeświadczenie, że zwolenników tej społecznej cennej zasady jest znacznie więcej niż z pozoru można by przypuszczać. Punktualnych nie brak, tyle, że są nieliczni.

Chciałbym dodać im ducha. Bądźmy śmielsi, przeciwstawiajmy się energiczniej tym, dla których nieuchwytność pojęcia czasu jest synonimem braku dłań szacunku. Dla nas, czas pozostaje czymś bezcennym, czymś, czego bezsensownie zaprzepaszczając nie chcemy. Człowiek ma tylko jedno życie, a życie to (średnio) tylko 613 tysięcy godzin.

* Naturalnie, w biurach czy urzędach mamy do czynienia z podobnymi — jeśli nie jaskrawszymi — sytuacjami.

Polski romans archeologii

MÓWI PROF. DR KAZIMIERZ MICHAŁOWSKI

Przed paru dniami Poznań gościł wybitnego polskiego uczonego, światowej sławy archeologa prof. dr. Kazimierza Michałowskiego. Sala Pałacu Działyńskich, aczkolwiek wypełniona aż po miejsca siojące, nie mogła pomieścić wszystkich interesujących się najnowszymi zdobyczami polskiej archeologii, mieszkańców naszego miasta. Tym przeło, którzy tej atrakcyjnej relacji nie usłyszeli z ust samego profesora, przekazujemy treść rozmowy z naszym gościem.

Jak nam wiadomo, Pan Profesor jest znany w kraju od niespełna miesiąca. Czy Sudan, skąd Pan Profesor wrócił, leży nadal w centrum Pańskich zainteresowań naukowo-badawczych?

— To jest w istocie teren, który mnie aktualnie najbardziej absorbuje. Prowadzimy tam — tzn. w Faras, blisko granicy egipskiej — czwartą już obecnie, począwszy od 1961 roku polską kampanię wykopaliskową. Nasze odkrycie, kamienia świątynia, ozdobiona pięknymi hieroglifami i doskonale zachowanymi malowidłami ściennymi, uznane zostało za najciekawsze odkrycie na przestrzeni ostatnich 30 lat. Obecnie polskie ekipy pracują tam przy zdejmowaniu ostatnich fresków ze ścian; są to duże malowidła, o powierzchni 2x3 m. Nastąpił już podział tych dzieł zabytkowych pomiędzy Polską a Sudanem. My otrzymaliśmy ponad 50 fresków. Dwa z nich przybyły już do kraju, ale obecnie nie ma ich u nas, ponieważ wypożyczyliśmy je na wystawę międzynarodową. Następnie przyjadą do kraju: najprawdopodobniej w połowie bieżącego roku. Będziemy wtedy mieć u siebie — tzn. w Muzeum Narodowym w Warszawie — jedną w świecie (poza Chartumem) pełną kolekcję fresków, pochodzących z okresu wczesnobizantyjskiego, od VIII do XII wieku. Zainteresuje pania na pewno wiadomość, że zamierzam po jednym z tych fresków przekazać muzeum w kilku miastach, m. in. Muzeum Narodowemu w Poznaniu.

Czy Faras, to jedyny teren polskiego romansu archeologii, że zapożyczyć terminu od W. H. Boultona, autora tłumaczonego zresztą przez Pana Profesora dzieła?

— Polskie ekipy naukowo-badawcze na Bliskim Wschodzie prowadzi obecnie prace jednocześnie w pięciu miejscach: w Faras, Aleksandrii, Palmirze, Deir el Bahri oraz Tel Atrib. Niedawno zaproponowano nam również objęcie prac wykopaliskowych na Cyprze, w miejscowości Nea Paphos. Jest to miejsce owiane szczególnym urokiem legendy, jako że to gdzieś tutaj właśnie wyłoniła się z piany morskiej Afrodyta.

Czy wykopaliska, to jedyne dziedziny działalności Pana Profesora na Bliskim Wschodzie?

— Bardzo absorbuje mnie obecnie również praca w powołanej przed rokiem przez UNESCO i rząd egipski, Międzynarodowej Komisji Ekspertów, której przewodniczę, a w skład której wchodzi uczeni, reprezentujący sześć krajów. Komisja ta czuwa nad realizacją programu rekonstrukcji świątyni w Abu Simbel. Zawisła nad nią, jak i nad innymi zabytkami tych terenów — groźba zalania wodą, w związku z budową tamy assuańskiej. Świątynia w Abu Simbel należy do najbardziej monumentalnych i najcenniejszych zabytków, wykutych w skale piaszczysta.

Kiedy Pan Profesor znajduje czas na — równie przecież absorbującą — pracę w kraju?

— Proszę pamiętać, że przebywam jednak w kraju co najmniej pół roku — w każdym roku. Wtedy przede wszystkim zajmuję się wychowywaniem młodej kadry archeologów na uniwersytecie, a poza tym — Muzeum Narodowym w Warszawie i jego galerią sztuki wczesnobizantyjskiej. Poza tym uważam, że moim obowiązkiem jest nie tylko praca naukowo-badawcza i dydaktyczna, lecz również upowszechnianie wiedzy. Stąd konieczność znalezienia czasu na odczyty, takie właśnie jak w Poznaniu.

Do tego wszystkiego dochodzi jeszcze Pańska działalność w zakresie publikowanych prac naukowych?

— Tak, obecnie pracuję nad III tomem publikacji na temat naszych prac sudańskich, w Faras. W bieżącym roku wydaję również V tom „Palmiry”. Przeciętnie — 2 tomy rocznie. Ukazują się one w języku francuskim, co uwarunkowane jest koniecznością szybkiego udostępnienia ich rynekowi światowemu. Ale w języku polskim piszę również. Przykładem np. moją książkę o Delfach...

Na zakończenie może zechce Pan Profesor powiedzieć, czy zdaniem Pana, archeologia znajduje swoje właściwe miejsce wśród współczesnych, tak bardzo technicznie nakierunkowanych, nauk?

— Wszystkie nauki społeczne są ideologicznie oparte na społecznym zamówieniu. Wydaje mi się, że obecnie istnieje jak najbardziej silne i duże zamówienie społeczne na zdobywcze archeologiczne, poszerzające np. wiedzę o budzących tak wielkie zainteresowanie krajach afrykańskich. Dziś w nowym świecie, poza naukowe efekty archeologii nabierają innego znaczenia. Misje archeologiczne w obcych krajach są najlepszymi ambasadorami kultury własnego narodu, służą lepiej od oficjalnych delegacji wzajemnemu poznaniu się i zbliżeniu pomiędzy narodami.

Rozmawiała: WANDA CHILA

Szansa ludzi upartych

Dokończenie ze str. 1

kreślić bo w elektrowni w Łagiszy podobne urządzenia brytyjskiej produkcji montowali Anglicy ze znacznie mniejszym powodzeniem.

Dzisiaj można mówić, że Elektrownia Konin zakończyła trzeci, ostatni etap budowy. Od prac dokumentacyjnych począwszy — minęło

dziewięć lat. Pozostało zmontować 28-megawatowy turbogenerator, który będzie pracował na rezerwach pary i — zrobić nieco małej architektury wokół zabudowań. Teraz już bez przerwy, po grubych jak ręka przewodach wysokiego napięcia — wędrować będzie w Polskę 600 MW elektrycznej energii. Ile to jest? Dziesięć razy więcej niż daje elektrownia poznańska. Tyle — przeliczając na kilowatogodziny — zużywała cała Polska międzywojenna.

CHEMIA i MY

Dokończenie ze str. 1

wyprzedzały inwestycje w innych działach produkcji. Rezultaty tych wysiłków widać na mapie gospodarczej Polski.

Proszę śledzić oś Wisły. Oto na Śląsku rozrósł się Oświęcim — pionier w produkcji syntetycznego kauczuku, pierwszy w kraju wytwórca tworzyw sztucznych. Dalej, z biegiem rzeki rozbudował się potentat od azotów — Tarnów, wyrósł Tarnobrzeg siarką pachnący. Bardziej na północ powstaje kombinat puławski — przyszły specjalista od nawozów, konkurent Chorzowa, Kędzierzyna, Tarnowa, potem Plock z petrochemią (jeden dzień produkcji rafinerii — oszczędność 40 000 dolarów) i wreszcie Toruń — dostawca łań.

Jeszcze nie wszystkie z tych zakładów pracują, jeszcze nie wszystkie osiągnęły zaplanowaną moc, ale krzywa wzrostu chemii już stromo pnie się w górę, a

STATYSTYKA NOTUJE:

wartość globalnej produkcji chemicznej w stosunku do 1938 r. zwiększyła się w Polsce 18-krotnie. Tempo jej wzrostu jest blisko dwukrotnie wyższe niż całego przemysłu. Proporcje te oznaczają, że zajęliśmy dziesiątą lokatę w skali światowej i trzecie miejsce wśród krajów RWP.

Jest się czym chwalić. Był jednak nie tak bardzo. Bo osiągnięcia — osiągnięcia, a potrzeby przemysłu, rolnictwa, rynku nadal ciągle dystansują rozwój chemii. Z tym zaś wiąże się inne, nieblahe wcale powody do troski. Oto, jeżeli przyjmiemy za 100 procent liczbę asortymentów chemicznych w obrocie towarowym krajów wysoko rozwiniętych, to w polskim przemyśle chemicznym odpowiedni wskaźnik wyniesie tylko 25 procent. Wiele do zżyczenia pozostawia też gospodarka materiałowa. Dobrze wyniki oszczędnościowe w latach 1961—62 w wielu zakładach zostały w roku 1963 zapomniane. Inną notoryczną bolączką jest powolność w rozbudowie bazy produkcyjnej sprzętu i aparatury dla chemii.

Czy te wszystkie słabości zostaną przezwyciężone? Na pewno tak. Ale chodzi o tempo. Wyścig trwa. Chcemy poprawić miejsce, zdobyte w chemicznym peletonie...

FRANCISZKA BOROWICZ

Eugeniusz Lech

Film telewizyjny wkracza na plan

znajdą się najpopularniejsi artyści teatru, filmu i telewizji.

W innych zespołach twórczych telewizyjne plany nabierają również realnych kształtów. Np. „Studio” przygotowuje do realizacji sensacyjną serię pt. „Podziemny front”, której jednym z autorów scenariusza jest znany pisarz, Bohdan Czeszko. „Podziemny front” przeniesie na mały ekran bohaterskie akcje „Czwartaków” — słynnego oddziału Gwardii Ludowej. Tematyka wojenna podjęta też będzie w serii „Cztery pancerni i pies”, której realizację podjął się Zespół „Syrena”. Cztery pancerni — to żołnierze — żołnierze z Brygady Pancernej im. Bohaterów Westerplatte, a pies to ich nieodłączny przyjaciel.

To w „Syrenie”. Natomiast w „Starcie” realizowany będzie cykl filmów o życiu lekarza w Nowej Hucie, a w zespole „Iluzjon” „Ogniomistrz Kaleń” — seria, która w swej scenariuszowej wersji sugeruje, że będzie to nowa próba przeniesienia na ekran przeżyte znanego bohatera filmu Ewy i Czesława Petelskich i powieści Gerharda „Luny w Bieszczadach”.

Tegoroczne telewizyjne zamierzenia naszej kinematografii zamyka ciekawa seria „Siekiera, motyka...”. Mają to być filmy o specyficznym humorze okupacyjnym — groźnej wówczas dla hitlerowców broni mieszkańców Warszawy.

Pięć odcinków cyklu „Barbara i Jan — tu i tam” Zespół Rytm odda do eksploatacji w kwietniu br., w następnych miesiącach inne zespoły rozpoczną systematycznie zasilanie telewizyjny program. A więc jeszcze poczekajmy... i miejmy nadzieję, że nie przeżyjemy rozczarowania, które nam towarzyszyło pod czas premiery „Lot”-u, pierwszego, szeroko reklamowanego seryjnego filmu telewizyjnej produkcji.

Eugeniusz Paukszta

Nowe lektury

Zacznijmy od książek Ludowej Spółdzielni Wydawniczej. Interesujący debiut prezentuje Michał Ciapało w książce „Powroty”. Autor, z zawodu elektryk, zaczął pisać przed dwoma laty, od razu zjednując sobie uznanie krytyki za umiejętność zatrzymywania w locie realiów i osadzania ich w zbeletryzowanym konkretnie. W powieści „Powroty”, odznaczonej III nagrodą na konkursie LSW, Ciapało uparcie chwyla tępo współczesności, ukazując je przez ludzkie przeżycia. Ostra to proza, miejscami rubaszna, chwilami zbyt gęsta, nieprzepracowana przez sito refleksji i wyboru autorskiego, ale autentyczna i rzetelna w swej prawdzie.

To samo wydawnictwo ogłasza powieść Haliny Rudnickiej „Za siódmym progiem”, żywo napisana historię przygód grofołazów w polskich grotach, słynnej Mrocznej, Lodowej, Mylnej i innych. Akcja warfka, wsparta autopsją autorki, bogata w swasty, osobliwy krajobraz podziemny, w pasjonującą przygodę grofołazów, zacięciwi odbiorcy, a młodych

zachęci może do jaskiniowych peregrynacji.

W „Czytelniku” odnotować trzeba „Kielbie we łbie” Stanisława Zielińskiego, tom wspomnień z czasów szczytnych, pełnych uroku, humoru, kpiny z siebie i innych, a przy tym jakiejś skrytej gdzieś pod groteską lirycznej łezki, jak zawsze, gdy myślimy o dziecięcych latach, ludziach tamtego czasu i naiwnych, ale świeżych przeżyciach.

„Czytelnik” również ogłasza nową powieść Kazimierza Brandysa pt. „Sposób bycia”, nowoczesna w stylizacji i w formie. Jest to jakby seria monologów wewnętrznych, próbujących ukazać to i charakter przeżyć myślowych jednostki we współczesnym świecie. Dużo tu do przemyslenia, wiele pytań zostawionych bez odpowiedzi.

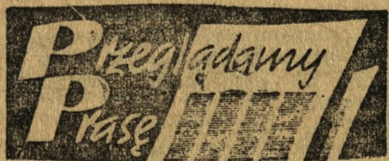
Dziwnie niezauważony przez krytykę przemija tom reportaży Tadeusza Zimeckiego „Aleja Dobrej Nadziei”, opublikowany przez Wydawnictwo Poznańskie. A przecież książka to niebanalna, żywa w treści, choć miejscami nazbyt może publicystyczna. Co jest wszakże najzamienniejszą jej cechą, to ostrość spojrzenia Zimeckiego, umiejętność dostrzegania związków pomiędzy zjawiskami pozornie dalekimi od siebie, ukazywanie wreszcie przemian typu socjo-

logicznego na Nadodrzu i Północy, przemian niesłychanie istotnych, a niezawsze dostrzeganych we właściwych proporcjach.

W PIW-ie otrzymaliśmy nową książkę Ewy Szelburg-Zarembiny pt. „Iskry na wiatr”, stanowiącą kolejny człon wielkiego cyklu powieściowego „Rzeka klamstwa”. Spotykamy się tutaj z dalszymi losami małej Salomei z „Mieściczka Aniołów”, a córki Joanny z poprzednich utworów autorki. Jakby zatem saga rodowa, rzucona na bujne tło polskiego życia. „Iskry na wiatr”, to czas przed pierwszą wojną światową, małe miasteczko z jego kłopotami i radościami. Serdecznie ludzka książka.

W PIW-ie też ukazał się tom opowiadań Stanisława Kasprzyskiego „Raz na kilka lat”, nagrodzony III nagrodą na Konkursie Literackim w 1962 r. Jest to debiut, zaskakujący dojrzałością i formy i sposobem literackiej transpozycji zjawisk. W opowiadaniach tych na pewno jest wiele z własnej biografii autora, co zresztą dodaje tylko tekstom walorów dobrze podpatrzonego autentyzmu, ale zarazem jest jakaś precyzja myślowego uogólnienia przeżywanych wydarzeń.

Z KSIĄŻKĄ NA TY



NASZE ZAROBKI

„Zarobki”, to tytuł artykułu Zygmunta Szeligi w najnowszym wydaniu „Polityki”. Zapowiadając tę interesującą publikację redakcja stwierdza m. in.

„Zarabiamy — mówiąc ogólnie — tak jak pracujemy (...). To nie jest slogan. A pracujemy nie zawsze wydajnie. I jeśli porównujemy, a my Polacy mamy ambicję porównywania się z innymi, z Zachodnią Europą, to powinniśmy pamiętać o tej podstawowej zależności: zestawiać nie tylko stopę życiową, ale i wydajność pracy”.

Autor artykułu podaje wiele interesujących liczb, zestawień i formułuje wnioski, m. in. że:

przeciętny poziom zarobku wykwalifikowanego robotnika nie odbiega od przeciętnego dla ogółu pracowników umysłowych (przed wojną rozpiętość była kolosalna); listę najlepiej zarabiających otwierają pracownicy umysłowi budownictwa przed pracownikami umysłowymi przemysłu, następnie idą: robotnicy budowlani, robotnicy przemysłowi, pracownicy umysłowi administracji, pracownicy umysłowi transportu i łączności, pracownicy fizyczni tego działu; pod względem wysokości średnich zarobków miesiiecznych — biorąc pod uwagę podział na województwa — przoduje katowickie

przed miastami Warszawą, Krakowem, Wrocławem, województwem gdańskim i miastem Poznań.

UWAGA: WYŻ!

W wiek pracy wchodzi obecnie roczniki bardzo liczne. Wyż demograficzny daje już o sobie znać. Co zrobić, by wszystkim zapewnić zatrudnienie? Temat ten podejmuje Mikołaj Kozakiewicz w „Głosie Nauczycielskim”, zwracając uwagę na wieś, gdzie powstała nowa sytuacja w wyniku uchwalenia ustawy o zakazie dzielenia ziemi w gospodarstwach oraz po wprowadzeniu dyktawy o ograniczeniu wolumenu nowej siły roboczej w przemyśle do 100 000 nowych miejsc rocznie.

„Skoro nie jesteśmy zainteresowani w przeludnianiu gospodarki wiejskiej i rozdrabnianiu ziemi — pisze publicysta — a nie możemy zatrudnić młodych, mieszkańców wsi w przemyśle, trzeba rozbudowywać pozarolnicze, usługowe zawody na samej wsi. Wiesz potrzebujesz tych usług, chłop nie chce jeździć z każdym uszkodzonym radioodbiornikiem, telewizorem czy motocyklem do miasta, wieś potrzebuje stołówki i dziecięcych, fryzjerów i stolarzy, ślusarzy i pralni itd., itd. Rozwój tych usług stworzy nie tylko rentowne i atrakcyjne, bo często z technika związane, zawody dla młodzieży wiejskiej, lecz również będzie modernizować życie chłopów, czyniąc je lżejszym i łatwiejszym, upodabniając je bardziej do ułatwionego życia miejskiego”.

DŁACZEGO NIE IDĄ NA STUDIA!

Zmniejsza się odsetek studentów pochodzenia robotniczego i chłopskiego. Dlaczego się tak dzieje? Na to pytanie stara się odpowiedzieć Andrzej Bilik w „Tygodniku Kulturalnym”. Zauważa on, iż nie można śmiało mówić o inteligencji czy

stawnym wobec klasy robotniczej i chłopskiej, gdyż obecna inteligencja w poważnym stopniu rekrutuje się właśnie spośród chłopów i robotników, którzy po wojnie zdobyli wyższe wykształcenie. Publicyście chodzi o to, by nie dopuszczać do sytuacji, w której wiele potencjalnych talentów może się znaleźć poza zasięgiem szkół wyższych. Przyczynę tego, iż najmniej absolwentów liceów zgłasza się na wyższe uczelnie ze wsi i małych miast, autor upatruje w braku właściwej informacji o możliwościach studiowania. Drugą przyczyną — jego zdaniem — jest pewna deprecjacja dyplomu magisterskiego, który nie zawsze zapewnia awans materialny. Publicysta proponuje:

rozważyć możliwość celowego zachęcania większej liczby absolwentów techników zawodowych do podjęcia studiów: wytworzenie w szkołach średnich takiej atmosfery, by każdy zdolniejszy uczeń trafił do komisji egzaminacyjnej wyższej uczelni.

ZAWÓD I WYKSZTAŁCENIE

Tematem tym zajmuje się w „Tygodniku Demokracystycznym” Wiesław Wernic („Nie/święci...”). Znane są fakty tzw. pomieszania zawodów: z jednej strony odczuwamy niedostatek fachowców, a z drugiej wykształceni w określonym zawodzie ludzie podejmują pracę w innych zawodach, nawet niepokrewnych. Przyczynę tego zjawiska autor widzi m. in. w pogoni zakładów pracy za podniesieniem odsetka pracowników ze średnim i wyższym wykształceniem; niezależnie od tego czy są to fachowcy potrzebni zakładowi pracy, czy nie — płaci im się dodatki za posia-

danie dyplomów. By uchronić naszą gospodarkę od tych niewątpliwych strat społecznych autor postuluje:

by rozszerzyć akcję powrotu do zawodów na wszystkie dziedziny działalności zawodowej (dotychczas prowadzono ją głównie w dziedzinie rolnictwa); by wypłacać dodatki za ukończenie studiów wyłącznie tym, którzy podejmują pracę zgodnie z wyuczonym zawodem; by pracodawcy bardziej rygorystycznie przestrzegali kwalifikacji zawodowych nowo przyjmowanych pracowników.

WATYKAŃSKIE KŁOPOTY

Felietonista „Kultury” Hamilton, pisząc na temat pielgrzymki Pawła VI do Jerozolimy, dochodzi do wniosku, że:

„Encyklika „Pacem in terris” była czynem, pielgrzymka do Ziemi Świętej — gestem; encyklika była ważna, pielgrzymka fotograficzna. Tu zdaje się tkwić zasadnicza różnica między Janem XXIII a Pawłem VI, między stylami dwóch pontyfikatów”.

M. in. do tego samego problemu nawiązuje Wiktor Nowicz w „Tygodniku Demokratycznym” („Watykańskie kłopoty z nienadążaniem”), pisząc: „Pawel VI do tej pory unika jasnego i zdecydowanego wypowiedzenia się w najważniejszych kwestiach międzynarodowych — przede wszystkim w sprawach wspólnotnictwa. W obecnej zaś sytuacji świata stosunek do tego zagadnienia wielokrotnie (...). W porównaniu z pontyfikatem Jana XXIII oznacza (pontyfikat Pawła VI — przyp. red.), jeśli nie cofnięcie się, to w każdym razie zatrzymanie się na drodze do zrozumienia wielkich procesów rozwojowych współczesnego świata”.

LEKTOR